

Teksty Drugie 1994, 1, s. 67-77



# Kicia Kocia spotyka Pana Cogito

Małgorzata Łukaszuk

co rodzime — rosyjskie i tym, co obce, nie może prowadzić do dialogu. Dostojewski dąży do potwierdzenia wyższości rodzimego kosztem odstąpienia od praktyki dopuszczania swych bohaterów do głosu. Zgodnie z zamierzeniem autora kultura i świadomość rosyjska umacniają się poprzez przeciwstawienie jej wartościom obcym, reprezentowanym rzekomo przez Polaków.

N. N. Strachow, w opublikowanym w 1864 roku artykule *Fatalna kwestia*, pisany w okresie intelektualnego zbliżenia z Dostojewskim, dochodzi do następujących wniosków w sprawie polskiej:

Arogancja i pretensje Polaków biorą się z europejskości ich kultury.

Ponieważ zarówno ta arogancja, jak i ich pretensje nie są zaspokajane, stają się one źródłem wielkiego nieszczęścia Polaków.

Ponieważ mogą one być zaspokojone tylko w stosunku do nas, stanowią dla nas obrazę. Być może nasza obraza jest równie wielka jak ich nieszczęście; z tej niesprawiedliwości powinniśmy sobie zdać sprawę: ich nieszczęście jest widoczne, natomiast nikt nie widzi naszej obrazy.<sup>11</sup>

Sposób przedstawienia Polaków w *Braciach Karamazow* jest odpowiedzią Dostojewskiego na obrazę, o której mówi Strachow. Polacy w jego powieści upadają na dno poniżenia moralnego po to, by Rosja mogła zwyciężyć. Pisarz udowadnia w ten sposób sobie i swoim rodakom, że prawdziwie rosyjska kultura może się zmierzyć ze zlatynizowaną, zapatrzoną na Zachód Polską — i odnieść moralne zwycięstwo. Pogębienie Polaków, równoznaczne z odrzuceniem reprezentowanych przez nich wartości, staje się w ramach takiego światopoglądu warunkiem odnalezienia i docenienia „prawdziwej” Rosji.

*Izabela Kalinowska*

## Kicia Kocia spotyka Pana Cogito

1. Jedną z ostatnich okazji do podglądania świata stał się dla Białoszewskiego stan wojenny. I okazało się, że równie inspirujący był folklor języka, jak współczesna mowa oficjalna, poprzedzająca i stanowiąca wzór dla nieformalnych działań słownych, a w konsekwencji — także dla lingwistycznego eksperymentu. Zastanawiać musi przy tym

<sup>11</sup> Artykuł Strachowa ukazał się w ostatnim numerze wydawanego przez braci Dostojewskich czasopisma „Wremia” za rok 1864. Pretekstem do cofnięcia pozwolenia na publikację tego czasopisma przez cenzurę był — co ciekawe — rzekomo propolski wydźwięk artykułu Strachowa.

fakt tak jednoznacznej tożsamości cywilnego „ja” poety z bynajmniej nie abstrakcyjnym podmiotem zbiorowym. Podobną relację wyrażał w *Pamiętniku z powstania warszawskiego* wszechobecny zaimek *się*, i o takiej identyfikacji mówi Białoszewski w jednym z zapisów *Rozkurzu*: „MY z końca dwudziestego wieku” (s. 105 — podkreślenie moje). Utożsamienie „ja” z cywilizacyjnym i kulturowym, czy wręcz „politycznym” „my” podmiotu zbiorowego stanowi zarazem okazję do wcale nie jednoznacznej interpretacji językowego weryzmu. „Omyłki o literę” skutkują nawrotem do lingwizmu:

Dawniej ciachali głowy.  
Teraz przyszła kolej na słowa.

Biorą  
— wronę  
— okonia  
— prom  
i obciachowują końcówkowatości  
WRON OKON PRON

Omyłki o literę...  
Srom w niebezpieczeństwie!  
Znormalizują erotykę,  
Ostatnią przyjemnośćkę  
narodową.

Prują suki  
w sukach syny  
suwysuk  
na n a s z e wyłaniania  
przepytujemy się  
z pałek użycia  
do bicia

O, Jezu!  
użyli gazu...

— im o to  
żeby załzawić?  
— e, o to  
żeby śmierdziało<sup>1</sup>

Białoszewski chce, by czytelnik uwierzył w presupozycję życia i porękę rzeczywistości. „To co ja piszę — przypominał w wywiadzie — jest związane jakoś z tym, co się dzieje dookoła, z językiem mówionym, łowionym. Szukam tych żywych docieków”.<sup>2</sup> I nawet najbardziej zawiły

<sup>1</sup> Wiersze bez tytułu drukowane w „Kulturze Niezależnej” nr 63/1990.

<sup>2</sup> *Sztuka jest wszystkożerna... Rozmowa z Mironem Białoszewskim* [rozmawia K. Nastulanka], w: *Sami o sobie*, Warszawa 1975, s. 318.

„dramat wewnątrz słowa” — czyli eksperyment lingwistyczny — wyjaśniał poprzez zasadę analogii i naśladowania:

To nie są dziwactwa — jak niektórzy sądzą — ale uczucia przeżywane przez wielu, a przede mną wygłaszane na instrumencie zachciankowym, który powinien świadczyć o rozmiarach wyobraźni poetyckiej, o własnej osobowości twórcy.

Nie był z tych, którzy „wiedzą lepiej”. Ale był realistą, o ile pojęcie to ma jeszcze rację bytu i jest władne określić zjawiska literatury współczesnej, w której — po prostu — realizm się nie udawał (był zawsze „nie taki”, nie na miarę). Ten nowy, możliwy już realizm nazywa Jerzy Jarzębski „realizmem pytań”, „lekturą wielokrotną, pełną wątpliwości, uzupełnianą zmysłem, wolną od powziętych z góry mniemań i presupozycji natury ideologicznej”.<sup>3</sup>

Deklarując realizm, Białoszewski równocześnie czynił zastrzeżenie: poezja nie nadaje się do załatwiania sporów doraźnych, sprawy społecznej, narodowej, politycznej. Poczynając od *Tłumaczenia się z twórczości* (z tomu *Rachunek zachciankowy*) po tom *Oho* wyjaśniał więc cierpliwie zasadę innego niż publicystyka poetycka „łowienia” żywych docieków:

chcą od mojego pisania nabrania życia otoczenia

a ja ich łapię za słowa

po tocznie

po tworzę

[*Tłumaczenie się z twórczości*]

Ma się być świadectwem

epoki

siebie też? chyba też

ostatecznie jest się samemu

człowiekiem też

[\* \* \*; z tomu *Było i było*]

A w chwilę potem, uznając poezję za rzecz jednak „niemęską” oraz sprawę „młodości”, dodawał: „zacząłem pisać prozą, bo z biegiem lat człowiek nabiera doświadczeń i musi mieć formę do przekazania, a w wierszach tego nie upchnie” (*Rozkurz*, s. 139). „Zbiorowe historie” i przeżycia typu kolektywnego, mieszczące zarówno wspólne oglądanie telewizji, jak doświadczenie powstania, stanu wojennego czy „sprawozdanie z SO” (Sądu Ostatecznego), „pakował” Białoszewski do „skondensowanej” prozy. Zgodnie z deklaracją. Ale także wbrew niej — wprowadzał do jawnie stylizowanej poezji, nade wszystko — do swego przedziwnego kabaretu, wywiedzionego z doświadczeń Gałczyńskiego i Witkacego. Po lekturze Rabelais’go wiedział, że najwnikliwszymi

<sup>3</sup> J. Jarzębski *Dwa bieguny dokumentu: Mackiewicz — Białoszewski*, w: *W Polsce czyli wszędzie*, Warszawa 1992, s. 188–189.

emisariuszami w terażniejszość nie są bynajmniej osoby z definicji realistyczne. Gdy rzeczywistość skrzeczy, potrzeba groteski, karykatury. Jak w anegdocie ze szmaragdem, „który hrabina podbiła zieloną bibułką, żeby się wydawał prawdziwszy” (*Spiszę wszystko*, z tomu *Szumy, zlepy, ciągi*).

Karykaturą postaci literackich są Wicunia, bohaterka *Interesu drugiego* (z tomu *Rachunek zachciankowy*), Ciotka Aniela, „jąkała”, baba z bloku, baba spod piramid. Autokarykaturą jest tajemnicza postać monologu, w której nadawca jest zarazem odbiorcą i adresatem, a wypowiedź dotyczy tylko tego, co „ja” jest skłonne samemu sobie wyjawić w dyskursie, a więc — siebie:

jestem sobie  
 jestem głupi  
 co mam robić  
 a co mam robić  
 jak nie wiedzieć  
 [.....]  
 co ja jestem  
 wiem że jestem  
 taki jak jestem  
 może niegłupi  
 ale to może tylko dlatego że wiem  
 że każdy dla siebie jest najważniejszy  
 bo jak się na siebie nie godzi  
 to i tak taki jest się jaki jest  
 [wywód jestem'u; z cyklu *Leżenia*, z tomu *Mylne wzruszenia*]

2. Kicia Kocia jest karykaturą doskonałą. Na nią i na grono jej znajomych scedował Białoszewski wypełnianie społecznych oraz „obywatelskich” zobowiązań w brawurowym kabarecie. Kicia Kocia wygłasza zatem odczyt o wolności słowa:

Korzystam z wolności słowa  
 Kochani! Kochane!  
 Oddzielność się skończyła.  
 Zabija nas bezustanna bomba łańcuchowa społeczności  
 [Odczyt *Kici Koci*; z tomu *Oho*]

Sybilla Grochowa sprawdza się w powszechnie zrozumiałej roli narodowego bohatera:

chachacha! uciekłam im  
 [.....]  
 Wzięli mnie za zasłużoną ciotkę ZMP, KOR-u i „Solidarności” z przystępem do komunii...  
 Buda pędzi. Ja w niej sama. Zaczęłam tłuc butlami z mlekiem o przegrodę. Stanęli. Wtedy ja na siebie chlap! dwie torby czerwonej mrożonki i na podłogę — w trupa. Zlecieli się. Znalazły się mary. Ja nieruchomo, trup-trup, raptem — jak się nie zerwę! Jak spieprzali!

Umyłam się śniegiem na Grochowskiej. Cha cha cha!

[*Bohaterka*; z tomu *Oho*]

Stresa dokonuje historiozoficznej analizy:

W Polsce zawsze były trzy stany: przedwojenny, wojenny i powojenny.

[*Wybuch stanu*; z tomu *Oho*]

A wszystkie razem podejmują próbę sprzeciwu. Grając w kartki żywnościowe, albo — demonstracyjnie, z wykorzystaniem indywidualnie dopracowanej metody — protestując:

BŁ. SIWULA

módlmy się do wszystkich bóstw o male nic złego

(padają rżędem we cztery, głowy do podłogi, antygłowy wypięte)

BŁ. SIWULA

nic złego

i w tył

ogęłz cin

i w przód:

nic złego

[.....]

chyba że zaprotestujemy

[.....]

stanem spokoju

STRESA

wewnętrznego

KICIA KOCIA

zewnątrznego

[*Wybuch stanu*]

Kicia Kocia okazała się idealną wysłanniczką. Może mówić i milczeć bezkarnie. Niczym inne poetyckie osoby wyraża tę sferę świadomości, której z różnych przyczyn nie dane było przypisać autorskiemu „ja”. Obdarowano ją przyjaciółmi, wyposażono w sfingowaną biografię i kazano nie tylko tłumaczyć własną — Kici Koci — osobowość, ale także wypełniać sobą (Kicią Kocią) lukę, której w żaden sposób nie można było „sobą” (Mironem Białoszewskim) zapełnić:

naród znarowiony?

gel, ruch, kręty,

sprzeczne węchy

znarowiony?

[.....]

znerwiony?

[.....]

To się nie da przepisać

z faktyczności

na wyrażalność

[\* \* \*, z cyklu *Kołowanie*; z tomu *Oho*]

Jest na pewno najbardziej niezwykłym z sobowótrowych wcieleń Białoszewskiego. Spotyka tych samych ludzi, bywa w tych samych — co bohater autobiografii literackiej Białoszewskiego — miejscach. Towarzyszy mu od *Rozkurzu* aż po ostatnie, zawałowo-szpitalne wtajemniczenia. Z drugiej strony — samo „imię” wskazuje tu na intencję dystansu, akceptacji zaś musi odpowiadać dezaprobata czy chociażby możliwość sporu. Z tą postacią bohater autorski rozmawia. Zmierza ku porozumieniu, będąc jedynym uczestnikiem dialogu, jego podmiotem i zarazem adresatem. Kicia Kocia to przecież nie tylko maska (rola?) Białoszewskiego, ale także projekcja jego *cierpliwego czytelnika*, partner w jak najdosłowniej pojętym akcie komunikacji.<sup>4</sup> Jej doskonały praktycyzm, racjonalizm, do granic wytrzymałości doprowadzona i podejrzana odporność psychiczna oraz absolutny brak roszczeń są — może — odwrotną stroną niepoprawnego donkiszotyzmu odzianego w kartezjański kostium współczesnego świętego Jerzego? Pan Cogito buffo? Pan Cogito w krzywym zwierciadle? Bohater moralitetu na skorygowaną miarę naszego *hic et nunc*, o co nieustannie zabiegała krytyka postulująca zaangażowanie, uczestnictwo oraz realizm? Lub — persona współczesności obdarzona nie tylko poczuciem ironii, lecz także — poczuciem humoru. A może idealna towarzyszka Pana Cogito, zgodnie z klasyczną zasadą dopełniania się przeciwieństw.

3. Sceptycy powiedzą, że takiemu związkowi przeczy wszystko. Pan Cogito to z założenia elew kultury najwyższej, konstytuowanej przez arcysymbole, superarchetypy. Kicia Kocia chowała się na przedmieściach, w trywialnym, nacechowanym środowiskowo gronie Ciotek. ON używa mowy scjentystycznej, zmierza — daremnie, ale uparcie — do myśli czystej, dba o czytelność aluzji, uwielbia mądre tautologie Natury i tłumaczenie *idem per idem*. JĄ bawi solipsyzm, cieszy onomatopeja, satysfakcjonuje przypadkowość skojarzeń, kicz i „głupstwo” egzystencji. Kicia Kocia, „przepisując z faktyczności na wyrażalność”, mówi może i dobitnie, ale za to niegrammatycznie, a co gorsza — „nie-poetycko”, nawet wtedy, gdy mówi „do rymu”:

#### Moja filozoo

(śpiewać szybko, tylko pierwszy i ostatni werset szeroko)

Wiem wszystko  
bo wiem

<sup>4</sup> W. Duszka *Jawna i utajona dialogowość w poezji Mirona Białoszewskiego. Zarys problematyki*, „Roczniki Humanistyczne” 1978 z. 1; R. Nycz *Sylwy współczesne. Problem konstrukcji tekstu*, Wrocław 1984, s. 284.

więcej niż zjem  
 a  
 jem wszystko  
 bylebym miała co  
 a że jest byle jak  
 dzielone przez wszystkich  
 mnożone przez wszystkiego brak  
 więc wiem, że  
 zjem wszystko  
 [Kabaret Kici Koci; z tomu *Oho*]

### Upiję się

Dzień na Grochowskiej huczy.  
 Noc nogami powłóczy.  
 Uciekać za te góry ludzi gdzieś!  
 Głupstwa pleść,  
 Kwiatki rwać.  
 Urwa mać!  
 [\*\*\*, Kabaret Kici Koci; z tomu *Rozkurz*]

Trudno wyrazić zgodę na tak niefrasobliwą dykcję, nawet jeśli wiemy, że „głupstwo” czy „kwiatki” to jeszcze jedna aluzja literacka, jeden jeszcze cytat ze Słowackiego wykorzystany jako argument w sporze Karusi z Mędrcelem:

Ja piórystka  
 (fruwa przez sen, spada w łóżko, budzi się)  
 Ja antypiórystka  
 (wstaje, przewraca się)  
 Ja wszystka  
 i nic.  
 [\*\*\*; z tomu *Oho*]

Wedle NIEGO świat daje się porządkować i nadal wyrażać w uniwersalnej mowie humanistów: gdy poważny język filozofów zawodzi — w ponurej mowie polityków i historyków, kształconych w i na seminariach. Powodowany kwestią smaku dochowa przymierza. Ocalały wszak sokratejskie ideały i ocalała etyka.

Dla NIEJ rzeczywistość jest tylko tym, czym czyni ją każdorazowo własne „ja” — wdzięczne w „przejęciu”, w zadziwieniu, w nieporadności „życia sobie”, w dosłowności *je pence donc je suis*, wyśpiewywanych do rytmu polki czy oberka, ale również w rytm pieśni, której nadaliśmy znaczenia najświętsze:

**BŁOGOSŁAWIONA SIWULA**, a za nią **KICIA KOCIA**

(sfruwają na linie z prześcieradeł)  
 (podbiegają)  
 (krzyczą)



Pani tu nie stała!  
Pani tu nie stała!  
(torbią się na górę)  
(intonują)

Boże, coś Polskę, ustawił w ogoonyy...  
[Kicia Kocia dzwoni...; z tomu *Oho*]

Pan Cogito to autorytet. Przeglądając się w NIM, zawsze odczuwalimy satysfakcję. Owszem, sam wie, że pierwsze wrażenie nie jest korzystne: podwójny podbródek, blisko osadzone oczy, nazbyt odstające uszy, niezbyt wysokie czoło. Ale jakąż umiejętność budowania antropologicznej paraleli, co za nośność sentencji i trafność paradoksu, jaka szlachetność i moralna niezłomność. I jaki krąg antenatów.

Do pokrewieństwa z Kicią Kocią przyznajemy się z zażenowaniem i niechętnie, pytając JA o genealogię i grono znajomych, narzekając na jej bezrefleksyjne samozadowolenie, a zwłaszcza — brak zaangażowania w świat bardziej skomplikowany niż kuchnia czy łazienka, do zagospodarowywania której sprowadzona została jej aktywność. Cóż zatem mogłoby łączyć JEGO topiczną, odpowiedzialną i kulturową podróż (powrót) do Europy z JEJ penetracją Manhattanu czy wyprawą na Antarktydę, z której przywiozła nonsensowny manuskrypt „baby dryfującej na krze”.

Można by zaryzykować — i miejsce oraz czas wymierzyć kwalifikatorem „śródziemnomorskim”, a choćby — środkowoeuropejskim. JEMU jednak marzy się Paryż, Werona, Rzym, przynajmniej — Kraków (co dziwne, o grodzie rodzinnym, pozostawionym naturalnie bez nadziei powrotu, wspomina rzadko); tymczasem ONA, rodowita warszawianka, zlekceważyła atrakcyjność kolorytu lokalnego i galicyjsko-kresowy strój regionalny. Nie chciała zgodzić się na podróż dalszą niż do Zawichostu. Trudno odmówić JEJ przezorności — proszę sobie wyobrazić towarzyszący oblubieńcom a złożony z przyjaciółek i kuzynek Kici Koci orszak wyruszający z Grochowa, Pragi czy Powązek na Zachód bądź Południe... Stresa, Błogosławiona Siwula z Wisznu Woli, Sybilla Grochowa, Katakumbowa, Baba z bloku i Baba spod piramid, Teosia Powązkowska, Ciotka Aniela (ta, co to ją „wrzucono w ten świat”) na Manhattanie — to zaiste barbarzynki w ogrodzie. ON przyjaciół ma niewielu. Obcował z Cieniami raczej, duchami, praszczurami, rodzinę traktować zwykły wyłącznie jako pretekst tożsamościowej lub historiozoficznej refleksji, przysparzającej mu nieodmiennie frustracji, zagrażającej wątlęmu *principium individuationis*.

Z drugiej jednak strony, Kicia Kocia była MU potrzebna. Okazała się doskonałym *axis mundi*, szansą jeśli nie na integrację osobowości, to przynajmniej na „zakotwiczenie” mieszkania w przestrzeni fizycznej

(oraz przestrzeni mitu). Poczucie przestrzeni własnej i cudzej, sublokatorskiej, było JEJ dane od dzieciństwa. Nigdy natomiast nie stała się partnerką w grze — grach właściwie — jakie Pan Cogito ze sobą bądź z migoczącą nicością toczył. Owszem, pojęła reguły, sens naddany i głębinowy faktyczności i terażniejszości, zrozumiała na czym polega tzw. rzeczywistość, ale i tak najpoważniejszą nawet partię kończyła wybuchem śmiechu, tłumacząc cierpliwie, że „robienie kiecek na drutach” to najlepszy sposób obłaskawienia bestii. Cóż — jak pisał jezuita — „Świat bałamut i fiut, fiut”, nie jest ani realny, ani trwałe, ani jednoznaczny. Lepiej „pilnować sznurka”...

ON wniósł do wspólnego mieszkania biblioteczkę klasyka, plansze gier strategicznych, wycieraczkę z ukrytą pod nią otchłanią, portrety przodków (aż po człekoidalne monstra, o których ONA zwykła mówić z czułością: „małpiliony”), przemycone z Oblężonego Miasta ideały. ONA — tomik rymów księdza Baki, księgozbiór undergrandowy i sentymentalny, wiklinowy kosz, makatkę, wywiezione z Oblężonego Pokoju „dziewiętnaście żywych chomików”. Poznali trudną sztukę kompromisu. Pan Cogito także spacerował po przedmieściach, pisywał „późnojesienne” wiersze przeznaczone do kobiecych pism. Kicia Kocia natomiast nauczyła się śpiewać romancoballady po francusku. Jest świadoma swych kulturowych odniesień: jej prefiguracją była bohaterka romantycznej ballady i pasterka ze skały Druidów; dane jej było spełniać rolę noblistki i pielgrzyma obmyślającego w Ameryce sonety; cytuje rady jezuitę równie chętnie, jak dylematy czy składnię romantyków.

4. I można by spytać, czy w tym związku Pan Cogito nie jest postacią nazbyt łatwą, jak łatwe są z założeń osoby literatury moralizatorskiej. Sam będąc kontynuacją, ma oczywiście tyłuż antenatów, co potomków. I stał się dosłownie tym, czym miał być parabolicznie: powielaną w sobowtórach postacią z przesłania, z moralitetu. Niepewność, zawieszenie odpowiedzi, „duszne rozterki” to również element strategii — nawet jeśli sam nie zechce odegrać roli Kropotkina, to rolę tę zagrają nim inni. Będzie mieszkał w historii.

Kicię Kocię zreprodukować w cudzej poezji byłoby trudno. Nie można JEJ kopiować, bo nie można się z nią spierać, skoro aż tak bardzo jest osobna. Nie uda się powtórzyć jej dykcji tak innej i równie trudno jest traktować poważnie jej proste odkrycia: perypatetyczną pozę jako metaforę istnienia („dojdę do siebie”) i „latanie” symbolizujące — jak w każdej z onirycznych ballad Białoszewskiego — natchnienie, fantazję, dar poetyckiej wiwisekcji potoczności.

O ile zatem mamy klucz do perypetii i rozterek Pana Cogito (decy-

zjami zawiaduje pamięć Kultury i Historii, instynkt społeczny, poczucie odpowiedzialności), o tyle ONA jest nieobliczalna i może się wplątać dosłownie we wszystko, więc także w to, co przydarzyło się Panu Cogito. Tym, w co mamy uwierzyć, jest instynkt samozachowawczy i poczucie humoru. Obrażać się, że przepaść Kici Koci nie dorównuje otchłani Pascala, byłoby jednak nietaktem. Jesteśmy przecież — i tu konieczny okaże się truizm — w NIEJ w takim samym stopniu, w jakim bohater Herberta jest w nas. Zresztą, z ulokowanych na szczycie góry–wieżowca, miejsca zatem szczególnie wyróżnionego, kuchni czy łazienki widać sporo, tylko inaczej.

Nie ma tu sfer zakazanych lub nieważnych, tak jak dla poetyki „łapania co się da”, szczegółików, podstępów czy donosów, naocznego mitu, nie ma obszarów tabu. „Faktyczność” można obrzucić wyzwiskami, można komizmem i farsą wywalczyć dla siebie miejsce bezpieczne, kryjówkę kręgowca i troszczyć się, by schronienie przetrwało. Nie można jednak faktyczności nie zauważać. Zresztą, jaki sens miałyby cierpliwie tworzenie azylu, gdyby nie pierwszy człon równania. Białoszewski unika doraźności, „nie chce sprawdzać w rocznice” (*Oho*). Ale i dla niego „świat nie da się od siebie za bardzo oddzielić” (*Zawal*). Jego aluzje są — jak sam powiada — „krótkie, błyskawiczne, trochę inaczej i bardziej cienko budowane”<sup>5</sup>. Ale uznając także tę poezję za dialog, podkreślając równoprawność form wypowiedzi, przesylenie jej mową cudzą i żywą, powinniśmy przyznać tej rozmowie podobnie funkcjonalne znaczenie. To nadal dykcja Kici Koci, tym razem „skrytej” za pierwszą osobą gramatyczną, i zapewne dlatego więcej tu zniecierpliwienia i sprzeciwu:

### Faktyczność

ani mrugnie

ja do niej coś

i chrząkam

ona nic

więc rzeczowieję

na nieruchomo

chrząkła

a wtedy ja

— ty świnię

[z cyklu *Przelatywanie*; z tomu *Oho*]

<sup>5</sup> J. Szymkiewicz *Rozmowy o sztuce: z Mironem Białoszewskim i Ludmiłą Murawską — o Teatrze Osobnym*, „Gazeta Pomorska” 1962 nr 41.

**Faktyczność**

siedzi, patrzy w okno

ja nic

nie wytrzymała

robi miny

ja tak myślę, co jej powiedzieć

aż mówię

— y

z nią razem

[z cyklu *Garwolin w zimie*; z tomu *Oho*]

Malgorzata Łukaszuk

## Struktura i autorytet

Trudno może nawet w to uwierzyć, choć czasy te nie są specjalnie odległe, a fakty — znane są chyba powszechnie. Jeszcze niedawno było w Polsce tak, że książki Miłosza w żadnej księgarni nie leżały na ladzie ani nawet pod nią. Dopiero w ostatnich latach tego długiego okresu można było dostać je w wydaniach podziemnych — ale też nie wszystko, w wyborze mocno znaczonej politycznością. Na uniwersytecie jego nazwisko wymieniano ukradkiem i choć już bez specjalnego strachu, to trochę mimochodem, bo przecież — należał do nieobecnych. A nawet wielkich nieobecnych i jako „owoc zakazany” budził szczególne zaniepokojenie. Niektóre, jego książki — te przedwojenne — można było znaleźć w specjalistycznych bibliotekach, a na czytanie reszty trzeba było mieć specjalne pozwolenie z odpowiednimi pieczęciami, wymieniające jakiś szczególny powód takiej ciekawości. Najlepiej, żeby to był powód naukowy — referat czy praca magisterska.

Ta nieobecność znaczyła coś więcej, nie była tylko luką w erudycji, białą plamą. Trudno wyobrazić sobie polską poezję jako górę lodową, której ogromna część jest ukryta. A jednak owa góra jest całością i to dryfującą w jednym kierunku. Miłosz rzeczywiście nie uczestniczył w codzienności polskiej poezji przez wiele lat, był z niej wykluczony, przeniesiony do rejonu wiedzy tajemnej, elitarnych lektur bardzo wąskiej grupy. Jan Błoński pisząc w 1973 roku, że ogromne oddziaływanie Miłosza jest „polonistyczną tajemnicą poliszynela”<sup>1</sup>, myślał raczej po profesorsku

<sup>1</sup> J. Błoński *Bieguny poezji*, w: *Odmarsz*, Kraków 1978, s. 203.